

STANISŁAW TOMKOWICZ.

WYCIECZKA
W LUBELSKIE



KRAKÓW 1916.
ODBIŁO W DrukARNI «CZASO».

STANISŁAW TOMKOWICZ.

WYCIECZKA
W LUBELSKIE



KRAKÓW 1916.
ODBITO W Drukarni „CZASU”.

I. LUBLIN.

1. Przyjazd. Ogólne wrażenie.

Podróż koleją z Krakowa do Lublina w obecnych wojennych czasach należy do przyjemności. Wprawdzie urządzono połączenie bezpośrednie przez Dębicę i Rozwadów; po tej linii, do której władze austriackie użytkowały nowy tor, zbudowany już w 1914 r. przez wojsko rosyjskie z Kraśnika do Lublina, chodzą od niedawna pociągi pospieszne z wagonami drugiej, a nawet pierwszej klasy. Ale tor to całkiem świeży, na prędkę położony, daleki od doskonałości technicznej. Pociągi na nim często się spóźniają. W połowie drogi trzeba wysiąść dla kupienia biletu i odbywa się rewizya graniczna, co wszystko zwłaszcza w nocy, wobec prowizorycznego urządzenia stacji, połączone jest ze znacznymi utrudzeniami. Zdarza się, że lepsze wagony są zajęte przez wojsko, tak, że ten co ma nieszczęście być zwykłym tylko „cywilem”, pomimo droższego biletu w kieszeni musi zadowolnić się bar-

dzo skromnem miejscem w przepelnionym przedziale trzeciej klasy. Po drodze wrazenia i widoki, w czlowieku najmniej sklonnym do pesymizmu, musza wywolac gorycz i ponury smutek. Za Dębicą zaczyna się kraina ruin i pogorzeliisk. Okolice jakby wymarła. W gruzach legly osady, ludność gdzieś się wyniosła. Rozwadów i okolice spustoszone; dalej pobojoziska koło Kraśnika, który od początku wojny kilka razy zdobywano, tracono i znów odzyskiwano; godzinami jedzie się wśród absolutnej pustki, bez miast, bez wsi, bez ludzi. Na prawo i na lewo nic, tylko jak okiem sięgnąć melancholijna, rozpaczliwa pustka, której nie przerywają bynajmniej budynki stacyjne, mikroskopijne budki sklecone z desek.

Role leżą odłogiem, pola poryte rowami strzeleckimi, lejkami od pocisków dział, wśród nich rozsiane groby jak kretowiska. Lasy o drzewach ściętych, albo połamanych od kul. Mój Boże, czemuś dopuścił, by z pięknej polskiej ziemi zrobiono jedno wielkie cmentarzysko, by z ludnych osad zostały się kupy gruzów, by nam poburzono nasze kościoły i siola, a ludzie zmuszeni byli opuszczać tłumnie swoje zsgrody i tulać się po cudzych kątach o głodzie i chłodzie, by ginęli z chorób i wycieńczenia, grzebani na obcej ziemi, by marły tysiącami ich dzieci sieroty! Jeremiasza by trzeba dla oddania tych strasznych niedoli, od których rozważania kraje się serce.

Dziwnym i szczęśliwym zbiegom okoliczności, miasta, zwłaszcza większe, stosunkowo mniej ucierpiały od wsi. Mówię tu jedynie o stronie ich budowlanej. Poniosły dużo strat pod wielu innymi względami. Wprawdzie obce armie przechodzące „rekwirowały”, co tylko mogło im się przydać, a pokazuje się, że przydawało im się wszystko, aż do zabawek dzieciennych i damskich gorsków. Nakładano ciężkie kontrybucye, wymagano różnych świadczeń niemożliwych, a za niespełnienie żądań, wymuszano kary — zwyczajnie jak na wojnie. W tych sprawach od początku świata mało się zmieniło, pomimo postępu, oświaty i konwencyi genewskiej czy haaskiej. Ale jako skupienia budynków miasta w Lubelskiem, z wyjątkiem Krasnegostawu i może jeszcze kilku mniejszych, przeważnie ocalały. Cudem jakimś nie legł w gruzach ten sam Kraśnik, około którego tak zacięte stoczono boje; stoi podobno Zamość. Lublin również uszedł cało. Gdyby nie zburzony w znacznej części dworzec kolei żelaznej i w pobliżu jego wysadzonych w powietrze kilka fabryk, możnaby, zwiedzając miasto, nie domyśleć się po stanie jego budynków, że tak niedawno szalała w sąsiedztwie nawałnica wojenna, że przechodziły tędy kolejno różne armie i nie jedna z nich pozwalała sobie na wybruki i na uciskanie ludności tego nieszczęśliwego kraju.

Nie tylko, że na miesiąc nie znać ekropności wojny, lecz owszem wyglądem zewnętrznym czyni ono wrażenie nader dodatnie i niemal pogodne. Wrze tutaj dziś pełnia żywotności. Jako centrum władz i stolica części Królestwa, zajętej przez Austryę, zaludnił się Lublin niemało. Ściągnęła tu na mieszkanie znaczna ilość obywatelstwa wiejskiego ze spustoszonej bliższej i dalszej okolicy. Roi się od urzędników i wojskowych. Z różnych stron, także z Galicyi i Krakowa przybywa mnóstwo osób za interesami. Ciągłe odbywają się zjazdy najrozmaitszych komitetów i stowarzyszeń. Przepelnione są hotele, restauracye, kawiarnie. Na ulicach panuje ruch duży we dnie, a nawet i późnym wieczorem, co ułatwia wcale dobre oświetlenie elektryczne. Na mniejszą skalę przypomina się Warszawa.

Na twarzach ludzi spotykanych maluje się spotęgowane ożywienie i pośpiech. Każdy ma liczne sprawy do załatwienia. Przygnębienia nie widać. Na tę fixyonomię, tohnącą pewną swobodą, składają się dwa czynniki. Mimo ścieńienia i niedoli nieodłącznych od wojny, ludność odetchnęła pod nowym rządem. Urzędy są przeważnie w polskich rękach, z góry zawiął wiatr życzliwy krakowi i jego mieszkańcom. Z przedstawicielami rządu można rozmówić się po polsku i co więcej: po ludzku. Jest jeszcze dosyć biurokratycznej formalistyki, są pewne niedomagania ma-

szyny rządowej — inaczej na razie być podobno nie może. Zrozumieli to mieszkańcy zajętego kraju, wśród których przychylność dla nowego kursu coraz szersze zatacza kręgi. Mówią otwarcie i jestem przekonany, że szczerze: materyalnie dzieje się nam obecnie gorzej niż za rządu poprzedniego, ale my i tak wolimy to, co jest, od tego, co było; przynajmniej teraz człowiek czuje się człowiekiem. Wolno nam być Polakami i katolikami. Rząd popiera i zakłada szkoły polskie, instytucye obywatelskie spotykają się z dobrą wolą władz. A mamy nadzieję, że uciążliwości i dokuczliwe nieraz zarządzenia stanu wojennego ustaną, gdy po wojnie przyjdą normalniejsze stosunki.

Ludność niczego się więcej nie obawia, jak tego, by nie powróciło panowanie rosyjskie, którego „dobrodziejstwa“ wszystkim prawie warstwom społecznym kością w gardle stanęły. — Stwierdziłem to usposobienie w Lubelskiem, a słyszałem, że w innych częściach zajętego kraju nastrój z dniem każdym zbliża się do powyżej naskicowanego.

Lubelskie wogóle zajmuje wybitne i jakby odrębne miejsce w obszarze Królestwa, zajętem przez Austryę. Wśród mieszkańców jego znać większą zwartość i spoiistość, niż gdzieindziej. Czy jest ona następstwem eksponowanego niegdyś i na ciągle walki z Rosją, Litwą, Jądźwin-

gami, Kozakami i Tatarsami narażającego położenia, czy też spowodowała ją potrzeba wspólnej obrony przed prześladowaniem wiary i narodowości przez Rosję w nowszych czasach? Dość, że wytworzył się jakiś osobny typ Polaka z Lubelskiego, typ nader sympatyczny i dodatni. Na wsiach panuje od dawna pewien dobrobyt, wynik urodzajności gleby.

Polityka rządu poprzedniego, przeskadzając budowie linii kolejowych i innemi utrudnieniami, mającemi na celu gnębienie polskości i Unii, wstrzymała rozwój przemysłu. Całe okolice pozabawione są fabryk. Skutkiem tego nie mógł rozwinąć się socyalizm i mniej tu niż gdzieindziej rozdźwięków społecznych, więcej ludzi poprzestających na swoim. Wytwarza to jakąś atmosferę równowagi i spokoju. W miastach, szczególnie w Lublinie, uderza liczny i silny ston mieszczkański. Składają się nań lekarze, adwokaci, kupcy, profesorowie, urzędnicy banków i stowarzyszeń. Wśród nich jest bardzo wielu o wysokim wykształceniu. Większość zaś odznacza się ogromnym zasobem poświęcenia dla spraw publicznego dobra i w ich służbie rozwija pełną wytrwałość energii. W całej postawie społeczeństwa daje się dostrzegać powagę i męską siłę, w trudnych obecnych przejściach wprost zdumiewająca. Ci ludzie wiedzą czego chcą i umieją dążyć do wytkniętych celów, nie łatwo zrażając się przeciwnościami;

umieją sobie radzić. Mówi się nieraz o niernormalnem położeniu polskiego narodu, które musiało wytworzyć chorobliwe nastroje. Tutejsze społeczeństwo (takie przynajmniej odniosłem wrażenie, mając trochę sposobności stykać się z niem) w bardzo trudnych warunkach umiało zachować zdrowie. Świadczy o tem cała jego postawa, świadczy umiejętna organizacja samopomocy w najrozmaitszych stowarzyszeniach. Tworzą się spółki, banki, kasy, komitety ekonomiczne, finansowe, dobroczynne, w celach kulturalnych i t. d. A co najważniejsze: działalność nie kończy się na słomianym ogniu chwilowego rozmachu, gorących słów, szumnych zapowiedzi i programów, ale zapala starczy na trwałą i wydajną pracę, wcieliła on się w „czynny żyjący“, w stałe organizacje, w pozytywne instytucje. Te są wcale liczne, a dla każdej znajdują się w społeczeństwie odpowiednie siły, ludzie przejęci duchem obywatelskim, co najmniej jeden człowiek, który z niesłabnącą gorliwością prowadzi ją, oddając jej swój czas, trud i zdolności.

2. Mieszkańcy i instytucje.

Już to pod względem zmysłu organizacyi, samopomocy, karnego zespolenia różnych warstw społecznych około wspólnych celów, trzeba przyznać, że Królestwo Polskie zdało w obecnych

bardzo trudnych czasach egzamin dojrzałości i może naszej Galicyi służyć za wzór, a pośród różnych części tego królestwa Lubelskie zajmuje jedno z miejsc pierwszych. Trzeźwość poglądów, wytrwałość, ofiarność jest tu istotnie wszelkiego uznania godną. Wśród twardej warunków życia pod panowaniem rosyjskiem ludzie nauczyli się nie oglądać się na pomoc rządu, ale radzą sobie sami i radzą doskonale, a z wielką godnością.

W samym Lublinie, który przecie jest tylko miastem prowincjonalnem średniej wielkości, wszelkiego rodzaju instytucyj i zakładów publicznej użyteczności, choć na prywatnych podstawach opartych, jest zbyt wiele, by o wszystkich tutaj mówić choćby piebieżnie i ogólnikowo. Wystarczy przytoczyć kilka przykładów. Obok polskich szkół średnich istnieją konwikty i internaty, istnieje wielki dom sierót, mieszczący kilkaset dzieci, dom zarobkowy i zakład starców. Miasto posiada bibliotekę publiczną, liczącą przeszło 30.000 tomów i połączoną z czytelnią, tudzież pracownią. Powstała ona z zapisu Hieronima Łopacińskiego, nauczyciela gimnazjalnego, człowieka niezamożnego, który przez całe życie od ust sobie odejmował, by książki nabywać, uzyskiwał je darem, zdobywał wszelkimi godziwymi sposobami. Wysoce wykształcony, badacz i szperacz, zbierał umiejętnie, umiał trafić, gdzie nikt nie

trafił. Zdołał też w niedługiem życiu zgromadzić rzeczy niezmiernie cenne. Rękopisów, w znacznej części średniowiecznych, jest tam blisko półtora tysiąca. Są dyplomy pergaminowe, dokumenty historyczne, kodeksy iluminowane, stare zabytki języka polskiego. Wśród druków są inkunabuły i rzadkości bibliograficzne, nawet unikatki polskie. Historia i literatura nasza przedstawia się nader okazaźnie. Bogatym jest dział pism peryodycznych, nawet rzadkich, zebranych w kompletach. Nie brak działów rycin i kart geograficznych.

Prywatna ofiarność dała początek bibliotece, prywatna ofiarność dalej prowadzi dzieło ś. p. Łopacińskiego. Gdy brakło tego, który był założycielem, znalazł się opiekun, równie troskliwy, w osobie Dra Aleksandra Jaworowskiego. Znały szeroko lekarz poświęcił na starsze lata szeroką praktykę i widoki materialne, by całą duszą oddać się bibliotece. Od szeregu lat kieruje jej sprawami, przesiaduje w niej długimi godzinami, wzbogaca ją dalej, porządkuje. Sam sporządził jej inwentarz i katalogi jej działów. Wydał drukiem katalog rękopisów. Dzięki jego pełnemu miłości kierownictwu, biblioteka rozwija się, odznacza się wzorowym ładem, oddaje nauce i oświacie ogromne usługi.

Lublin posiada obok kilku mniejszych bibliotek i archiwów, dwa jeszcze znaczne zbiory tego

rodzaju. Jednym jest biblioteka seminarium dycęzyjalnego, obejmująca około 14.000 numerów, drugą biblioteka gimnazjalna, licząca około 10.000 książek. Obie zawierają wiele rzeczy cennych, zwłaszcza pierwsza; powstała głównie ze zbiorów zniesionych klasztorów, bogatą jest w inkunabuły, rzadkie dzieła polskie i obce, rzadkie wydania. Są i polskie unikatki, są zabytki dawnej muzyki. Jest piękny dział rękopisów średniowiecznych, nie tylko teologicznej i kościelnej treści. Zawiaduje nią obecnie prof. seminarium X. Ludwik Zaleski, który pracuje nad katalogiem i niejedno ważne uczynił już odkrycie. Między innymi napotkał cenny zabytek języka polskiego, a rzecz całkiem niespodziewana, także kilka bardzo dawnych zabytków języka niemieckiego, jak się zdaje, germanistom nieznanymi. Karty pergaminowe, na których znajdują się powyższe teksty, dostały się do Polski w oprawach starych ksiąg, kiedyś zapewne z Niemiec i Niderlandów przywiezionych. — Biblioteka gimnazjalna powstała ze zbiorów dawnych szkół wojewódzkich. Zapewne włączano niegdyś do nich także księgozbiory klasztorne lub prywatne. Tem tłumaczymy sobie okoliczność, że spotykamy tutaj również wiele rzadkich i starych druków, nie nadających się bynajmniej do celów szkolnych. Wśród rzeczy mniej starych znajdują się kosztowne edycje dzieł o geometrii, architekturze itp.

Obie te biblioteki: seminarjalna i gimnazjalna nie są publicznymi, są dziś niemal niedostępne zupełnie. Znajdują się w budynkach zajętych na cele wojskowe. Książki mieszczą się w szafach, w jakim takim porządku i w miejscu zamkniętem, bezpiecznym, a suchym, ale opróżniając dla wojska gmachy przeniesiono do sal bibliotecznych sprzęty i graty z sal innych, czyniąc tutaj istne rupieciarstwo. Trzeba mieć nadzieję, że z nastaniem spokojniejszych stosunków, nadejdzie pora stworzenia korzystniejszych warunków dla tych zbiorów, chlubnie świadczących o kulturalnym poziomie dawnej Polski, o intelektualnych potrzebach i upodobaniach jej mieszkańców, o ścisłym związku, który już od wieków łączył z umysłowym ruchem zachodu nie tylko taką stolicę jak Kraków, ale mniejsze miasta i odleglesze prowincje. Biblioteki lubelskie powstały ze zbiorów klasztorów i szkół, rozsianych po całym kraju w dość dalekim od Lublina promieniu. Zanim zaczęliśmy korzystać z „dobrodsieństw” rządowej opieki rosyjskiej, istniały od wieków ogniska życia umysłowego po miasteczkach i miejscowościach, w których dzisiaj zupełnie w tym kierunku zapanował zgnilizna; wszak mimo niezliczonych klęsk krajowych i systematycznych rabunków, do bardzo niedawna można było zetknąć się nawet po wsiach z nader poważnymi bibliotekami z dawnych czasów. Stanowiły one

snać pokarm duchowy naszych przodków po dworach, klasztorach i plebaniach.

Dziś jest inaczej... i nasze pokolenie podobne takiej spuścizny po sobie nie zostawi; nie same zaś spustoszenia obecnej wojny będą tego powodem. Życie umysłowe ześrodkowało się w kilku głównych ogniskach, po za niemi mało kto zbiera poważne książki. Następcy tych, którzy mieszkając na partykularzu gromadzili biblioteki, domy swoje i kościoły zdobili dziełami sztuki, zbiorów tych nie powiększają; co więcej, mało dbają o odziedziczone, rozpraszają je i marnują. Za strawę umysłową starczą im dziełniki, a potrzeby ich estetyczne zaspokajają olejdruki i sprzęty fabryczne. Tandetne wyroby wypełniają nasze kościoły i mieszkania i zastępują często najcenniejsze stare obrazy, rzeźby, sprzęty, naczynia i szaty kościelne, których handlem wzbogacają się antykwarze.

3. Wygląd miasta.

Osobne miejsce należy się zabytkom budowlanym Lublina. Jest on co do tego jednem z najbardziej zajmujących miast polskich, niemal współzawodnikiem Krakowa.

Już samo położenie nazwać można wyjątkowo pięknem, uderza to zwłaszcza, gdy patrzymy na całość miasta z pewnego oddalenia od strony po-

łudniowej i wschodniej, gdzie rozłożone są płaskie niziny nadbrzeżne dopływu Wieprza, Bystrzycy; koryto jej miejscami rozlewa się w szerokie, do jezior podobne płyty wody, przechodzące w bagniste równiny. Rzeka stanowi niejako granicę między jednostajną wschodnią płaszczyzną a urozmaiconym, pagórkowatym krajem, który stąd ciągnie się ku zachodowi, ku Kazimierzowi dolnemu nad Wielą. Wzgórza nie są wysokie, niemniej jednak wzniesione na nich po lewym brzegu Bystrzycy miasto, o pewnej ilości wysokich i rozległych gmachów, najeżone wieżami i wysokimi dachami kościołów, przedstawia się wcale majestatycznie. Do pozorowego zwiększenia jego obszaru przyczynia się niezwykle ukształtowanie planu zastosowanego do konfiguracji terenu. Miasto nie jest zwarte dokoła jakiegoś jądra, lecz od środka jego, na którym stanęła dawna osada, wybiegają w różnych kierunkach, jakby ramiona czy odnogi polipa, grzbiety wzgórz, po których ciągną się długie zabudowane ulice. Nie brak ogrodów na krańcach a nawet i w środku miasta. To wszystko składa się na powabne i poważne wrażenie całości obrazu.

Chodząc po mieście poznajemy jego piękności szczegółowe, wynikające z niezwyklego planu. Z końców długich ulic roztaczają się urocze widoki zrównu na okoliczne niziny, jak na miasto samo. Pomiędzy przedmieściami zagłębiają się

półkola wzgórz, jakby amfiteatralne brzegi zatoki morskiej, tworząc istne panoramy. Z jednych ramion wzgórz oko pada na ramiona wzgórz sąsiednich i ulice na nich z wychylającymi się z długich rzędów domów kościołami tudzież malowniczymi grupami drzew; a stóp patrzącego ścielą się rozległe niziny okoliczne, przersnięte wstęgą rzeki i ożywione lśnąciami zwierciadłami moczarów.

Takich punktów widokowych jest dużo, odkrywamy je co chwilę, chodząc po mieście, najnie spodziewanej na zakręcie ulicy lub z okna domu, do którego wstąpiliśmy w odwiedzinę. Pierwszeństwo jednak przyznałbym wzgórz zamkowemu i zabudowanom klasztoru podominikańskiego. Wogóle można bez przesady powiedzieć, że pod względem nierówności podłoża, układu planu, prowadzenia ulic, osobliwych przejść i przejazdów, oraz pewnych właściwości widokowych, Lublin ma nienależnie podobieństwo do słynnej ze swego położenia Sieny. Brak mu tylko górskiego jej otoczenia z wyniosłymi w oddali szczytami południowej Toskanii.

Do architektury miasta jako takiej nie należy oczywiście przykładać miary sławnych miast włoskich. Wszystko tu skromniejsze, zaczawszy od materiału, a skończywszy na proporcjach; niema gmachów marmurowych, niema kościołów rzeźbą okrytych, niema wież w niebo strzelają-

cych, niema pałaców o murach cyklopskich i piętrach jakby dla olbrzymów stawianych. Niemniej jednak zaułki i kręte ulice starego miasta, o szeregach domów, to pących się w górę to zstępujących na dół, odznaczają się niezwykłą w Polsce malowniczością, a pełne są uroczych niespodzianek. Tu ulica rozszerza się w nieregularny placyk, tam spotkanie kilku ulic tworzy tajemniczy zakątek; ówdzie droga prowadzi do przejazdu na kształt tunelu po przez grupę domów; gdzieindziej na zakręcie odsłania się nagle piękna fasada kościoła lub stara brama i wieża fortyfikacyjna, tu i ówdzie wreszcie przerwa między budynkami stanowi jakby okno otwarte na szeroką okolicę pól i wsi podmiejskich, z których bije świeżość i swojskość polskiego krajobrazu.

Niewielki rynek dawny mógłby przywozić na pamięć rynek starego miasta w Warszawie, gdyby miał więcej domów nie przerobionych lub grubo nie potyntkowanych w bliższych nam czasach. Trybunał, wzniesiony na jego środku budzi wspomnienia historyczne, lecz przebudowany był za Stanisława Augusta, przez Merliniego. Architektura jego, którą można nazwać porządną, poważną, a przytem mało interesującą, każe żałować, że nie zostawiono stojącego nigdyś na temże miejscu ratusza średniowiecznego, który był w rodzaju budowli toruńskich. Najwięcej

cech indywidualnych zachowała fasada kamienicy Sobieskich przy wschodniej połaci ryaku, z bogato rzeźbionymi, barokowymi obramieniami okien. Ulice najbliższe rykowi, krzywe i wąskie, wspinające się w górę, to znów zstępujące na dół, nie pozbawione są pewnego uroku malowniczości, choć domy ich po za tem, że są dość stare, niczem się nie odznaczają, na pozór przynajmniej. Gdzieniegdzie tylko bacznie oko odkrywa jakiś drobny ornament, napis lub datę. Podobno kilka wewnątrz kamienic kryje nieco zajmujących szczegółów. W niektórych dziedzińcach mają się znajdować reszty baszt i murów, które niegdyś zamykały śródmieście w niewielkim od rynku promieniu i broniły go.

Widomą granicę między starym a nowszym miastem stanowi Brama krakowska, jedyna z kilku bram które istniały do niezbyt dawna. Przy niej zaczyna się prosta, szeroka i długa ulica Krakowskie Przedmieście, zabudowana przeważnie nowymi gmachami, pałacami, willami wśród ogrodów. Bramą stojącą na otwartym wyniosłym miejscu, z dala widzialną, stała się niejako godłem miasta i chlubą jego jako pamiątką dawnych czasów. Nad jej zasklepieniem, głębokim a cienistym przejazdem wznosi się dość wysoka, piękna wieża. Z przodu, od Krakowskiego Przedmieścia przejazd przedłuża niższa fortyfikacyjna budowla z blankami, strzelnicami i wieżyczkami

narożniami. Całość ciężka i ponura, wywołuje poważne wrażenie i pomimo niefortunnych dodatków, pomimo grubej warstwy tynku zasłaniającego formy architektoniczne, jest interesująca, nawet uderzająca i przenosi nas w odległe wieki, kiedy grube mury obwodowe ciasne bramy i potężne wieże, obalngiwane przez cechy rękodzielnicze, były obroną miasta.

Podobnie jak w Warszawie, życie dzisiejsze w Lublinie ześrodkowuje się nie w starym mieście, tylko w częściach powstałych w nowszych czasach, przedewszystkiem na Krakowskim Przedmieściu. Tu są pierwsze sklepy, banki, hotele, restauracje. Dużo tu domów wielkich, okazałych, ozdobnych — artystycznie wybitnych bardzo niewiele. Epoka ostatnia jakoś wszędzie mało sprzyja architekturze prawdziwie artystycznej. Zabytkom zaś budownictwa dawniejszego, których tu było trochę, dały się we znaki: zmiana stosunków, potrzeb i wymagań, nieogłędność, brak zrozumienia i poszanowania spuścizny po przodkach. Cały szereg budynków nosi szumne nazwy pałaców: Radziwiłłów, Lubomirskich, Czartoryskich, Sapiechów, Jabłonowskich, Tarłów, Potockich. Kiedyś stały one wśród ogrodów i były może piękne — zmodernizowane w sposób bezwzględny, wyglądają dziś jak zwykle kamienice czynszowe. Najpokaźniejszym jest pałac Radziwiłłowski, który niegdyś należał do królowej

Barbary i w posagu dostał się Zygmuntowi Augustowi. W XIX już wieku przerobiono go na rezydencję gubernatorską i to tak grubotownie, że prócz kawałków murów tylnego traktu z resztami szkarp i baszt, oraz kilku sklepionych iab parterowych, niczego dawnego w nim ani wewnątrz ani wewnątrz dopatrzyć się nie można

4. Zamek.

Podobny los spotkał i zamek królewski, którego początki sięgają daleko w głąb średniowiecza. Wznosi on się tuż obok starego miasta, na osobnym jednak pagórku, niegdyś oddzielnym od reszty osady; później przeleżąc dość głęboką wypełniły domy, tak że przedział ten niezbyt wpada w oczy. Od wojen szwedzkich rozwały się dawne mury i zabudowania zamkowe, przez długie lata zaniedbane i opuszczone. Na widokach z przed 100 lat można się przekonać, że już wówczas bardzo mało z nich było pozostało nad ziemią. Na ich miejscu stanął potem ogromny jednolity gmach więzienny w stylu modnym w epoce romantycznej, niby gotyckim, przypominającym pierwsze dworce kolejowe środkowej Europy. Na szczęście uszenowano dwa najważniejsze budynki dawne. Jednym jest okrągła potężna baszta, wzniesiona w końcu XIII w. przez ks. Daniela halickiego, jak się zwykle powta-

rza za Długoszem. Według nowszych badań wszelako Daniel wcale, nawet na krótko, nie władał Lublinem, więc i wieży nie mógł kazać budować. Zamek zaś istniał o wiele wcześniej, zceni bowiem są kasztelnowie lubelscy od r. 1224. Bardzo być może, iż baszta murowana, mająca wszelkie cechy donżonu, istniała już wtedy, kiedy reszta zabudowań zamkowych była jeszcze drewnianą. Stoi ona wewnątrz obszernego dziedzińca zamkowego, mniej więcej na środku wzgórza. Mury ma blisko czterometrowe, a w tej grubości obiega ją linia śrubowata, korytarzykiem poprowadzona równia pochyła, miejscami przerywana schodami. Gruba, ta baszta niegdyś była wyższą. Zniżono ją w czasie budowy więzienia i dano niezbyt stosowne zakończenie. Mimo tego jest jeszcze imponującą i góruje nad budynkami zamkowymi. Warto wyjść na jej szczyt dla samego użycia przepięknego widoku, który się stąd na wszystkie strony przedstawia.

Jeszcze ważniejszym jest drugi zabytek w jej pobliżu. Węższy koniec podwórza zamyka sześciokątny kościółek nie obszerny, a bardzo wysoki. Jest to kaplica zamkowa św. Trójcy, budowana w skrócie gotycka, z pewnymi tylko na zewnątrz dodatkami renesansowymi, bynajmniej nieszkodliwymi; owszem same przez się ładne, dodają jej wdzięku. Wnętrze należy do zabytków najważniejszych nie tylko w Lublinie, lecz w Polsce

całej. Jest to jakby zmniejszone wnętrze krakowskiego kościoła św. Krzyża, tylko stylowo nieco starsze. Długie zaniebanie zamku okazało się tutaj o tyle korzystnym, że styl gotycki z dobrej jeszcze epoki zachował się w pierwotnej swej czystości; prócz szlachetnych zresztą trzech ołtarzy drewnianych barokowych, epoki późniejsze nie wprowadziły tu żadnych nowości. Ocalały różne piękne odrzwia gotyckie i inne kamienne szczegóły. Całość wywiera dziwnie poważne, jakieś uroczyste wrażenie, przenosząc widza w pełne średnie wieki, w czasy Władysława Jagiełły.

Nie jest pewnem, czy on z gruntu kazał wyprzewadzić mury kaplicy, czy też raczej jeszcze Kazimierz W., który „zostawił Polskę murowaną”, a około obwarowań Lublina i jego zamku wielce się zasłużył. Ale niewątpliwie Jagiełły zasługą było ozdobienie wnętrza freskami. Świadczy o tem zachowany w tęczy kościółka napis z datą 1415 r. Napis jest ruski i cechy bizantyńskoruskie posiadają też urywki malowań ściennych, wyglądające w wielu miejscach z pod pobiałą późniejszej.

Napis ma z wielu względów znaczenie ważnego dokumentu historycznego. Wiadomo, że pierwsi nasi Jagiellonowie kochali się w kulturze ruskiej. Język ruski był przez długi czas na Litwie urzędowym. Sztuka ruska znalazła w Wil-

nie drugą ojczyznę, ognisko, z którego rozchodziła się w dalekim promieniu. Wszak stamtąd sprowadził Jagiełło malarzy do zdobienia Zamku krakowskiego i kościoła świętokrzyskiego na Łysej górze, dziś, niestety, zamienionego podobno w kupę grusów. A jeszcze i Kazimierz Jagiellończyk ruskim malarzom polecił adekorować kaplicę na Wawelu freskami, które dotąd oglądać możemy. Podobnie rzecz się miała w Lublinie.

Otóż w naszych czasach znaleźli się oczywiście gorliwi rusyfikatory, którzy nie omisskali z tego skorzystać dla swoich celów agitacyjnych. W ich szeregi zaciągnęła się nawet urzędowa rosyjska „nauka”. Między innymi niejaki p. Melkiewicz w lubelskich „Gubernskich Wiadomościach” ogłosił w r. 1913 rzekomo uczoną elukubrację, w której dowodzi, że nie tylko Chełmszczyzna, ale całe Lubelskie było od wieków krajem ruskim, czy nawet rosyjskim. Wśród argumentów użył i tego, że kaplica zamkowa w Lublinie jako pokryta wewnątrz malowaniami ruskimi, była od swego początku cerkwią prawosławną, wskutek czego proponuje, aby „przywrócić jej kształt pierwotny”, nakrywając ją kopułą baniastą, zapewne zieloną lub złoconą. Nie powstrzymał go od tego pobożnego życzenia architektoniczny nonsens, jakoby jednolita budowla z krzywymi sklepieniami na żebrach wyrastających ze

słupa środkowego, typowa dla całego szeregu średnio-wiecznych kościołów gotyckich na zachodzie, mogła być „pierwotnie” mieć kopułę bizantyjską. Wszakże o ścisłości jego badań i dowodzeń świadczy najlepiej sam ów napis oryginalny u-nieszczony w miejscu tak widocznym, że widzieć go musi każdy, kto ma oczy. Napis jest ruski, więc nie był chyba niezrozumiałym badaczowi rosyjskiemu. Czytamy tam, że malowania-mi przyozdobiony został „sij kostiel”. Gdyby to był dom boży prawosławny, z pewnością użyto by wyrażenia: cerkow. Ale sumienniejsi od p. Malkiewicza malarze ruscy z XV w. nie myśleli o politykach rosyjskich XX wieku i dobro-dusznie pisząc prawdę, niepocziwego figla sple-tali urzędowej „nauce” rosyjskiej.

Przed kilku laty malarz warszawski, p. Józef Smoliński, wiedziony zapalem dla sztuki i prze-złości, zabrał się do skrobania pobiałą pokry-wającej freski, o których mowa. Odsłonił cały jeden duży obraz na cylindrycznej klatce scho-dowej, prowadzącej z nawy na galerię muzyczną. Obraz ten, rodzaj tablicy fundacyjnej, przedstawia-nęczyrzynę kłęczącego przed M. Boską. Przy M. Boskiej stoi dwóch świętych, za kłęczącym ry-cerz, niosący miecz i drugi jeszcze człowiek, mo-że artysta sportretowany. W głębi widać długą fasadę gmachu, który mógłby być dawnym zam-kiem lubelskim, a z boku wysoki kościółek, przy-

pominający kaplicę zamkową św. Trójcy. W kłę-czącym dopatrują się niektórzy Jagiełły. Ale jest on on tu bez odznak królewskich i brodaty, pod-czas gdy znane jego wiarygodne portrety przed-stawiają go bez zarostu.

P. Smoliński musiał zaprzestać ledwie zaczętej roboty. Z prób jego jednak w różnych miejscach poczynionych pokazało się, że podobnym malow-aniem pokryte było całe wnętrze kościółka od dołu do góry: ściany, sklepienie, nawet słup środkowy. Tu widzimy rząd świętych obok sie-bie stojących, tam scenę z życia P. Jezusa lub M. Boskiej, ówdzie jakąś scenę może ze starego Testamentu itd. Gdzieindziej ornamenty, fryzy i pasy złożone z motywów roślinnych i geometry-cznych. Wogóle malowania, jak się zdaje, nie najgorzej się zachowały, a o ile z urywków są-dzić można, posiadają istotną wartość artysty-czną. Są ważne i z tego względu, że sztywność i szabloność bizantyjska złagodzona w nich jest powiewem sztuki zachodniej, w głowach ludzkich zaś przebija się pewne studium natury, skłonność do indywidualizowania niemal portre-towego. Jest to cecha nadzwyczaj zajmująca, no-wy przyczynek do wiadomości o stykaniu się na gruncie polskim w średnich wiekach wpływów ze wschodu i zachodu płynących; zlanie się dwóch pierwiatków, obok innych jeszcze miejscowych i

obcych czynników wytworzyło odrębną fizyonomię naszej sztuki, a także naszej kultury.

Kościółek św. Trójcy, jako budynek należy do typu kaplice zamkowych zachodu, zwłaszcza niemieckiego. Jest on właściwie kaplicą t. zw. podwójną; w pierwotnym bowiem założeniu składa się z dwóch przestrzeni, położonych jedna nad drugą. Kaplica główna, pańska, o której była mowa wyżej, znajduje się na poziomie pierwszego piętra zamku i z tego pierwszego piętra wchodzi się wprost do niej. Druga, przeznaczona dla dworzaków i służby znajduje się poniżej, na wysokości parteru zamku. Miała ona sklepienie również wsparte na filarze środkowym. W późniejszych czasach poprzedzielano ją ścianami i użyto na składy. Pod ziemią istnieje podobno trzećcia kondygnacja, czyli piwnice, które może początkowo przeznaczone były na groby.

Wszystko to razem czyni z kościółka św. Trójcy najbardziej zajmujący zabytek Lublina. Rozpisałem się nad nim i z tego też powodu, że jest najmniej znanym ogółowi. Za rządów rosyjskich nikogo prawie na zamek nie wpuszczano. Obecnie wstęp nie tyle jest zasadniczo wzbronionym, ile nadzwyczaj utrudnionym, z powodu, że zamek mieści więzienie podejrzanym o szpiegostwo. Pozwolenia z ogromnymi ostrożnościami udziela sąd wojskowy. Kaplica od dawna nieużywana, znajduje się choć pod dachem, ale w sta-

nie opuszczenia. Ściany i sklepienia są mocno porysowane i dla samego bezpieczeństwa wymagają rychłej naprawy. Przy tej sposobności wypadałoby uporządkować wnętrze, a freski w całości odsonić z pod pobiałą i gruntownie utrwalic. Na szczęście zainteresował się tym przedmiotem naczelny zarząd zajętej prowincji, który szczerze poczuwa się do obowiązku rozciągnięcia opieki nad kulturowymi sprawami kraju. Spodziewać się należy, iż wkrótce podjęte zostaną starania rządu roboty restauracyjne dla uratowania murów i fresków kaplicy. Tyle zabytków polskich zniszczyła wojna, niechże choć ten jeden, jeden z najcenniejszych, jej zawdzięcza swoje ocalenie.

5. Kościoły i klasztory.

Kościółki lubelskie, liczne, nader gęsto po mieście rozsiadane, — a prócz istniejących kilka innych zamieniono na budynki świeckie, lub zburzone — co do ważności dla historii sztuki, nie mogą się mierzyć z kaplicą zamkową. Godzi się podnieść, z wszelkimi uznaniami dla miejscowego duchowieństwa, wzorową czystość i porządek w jakim są utrzymywane. Zwiedzając je pilnie, nie natrafiłem ani na jeden tak zaniedbany, tak zawadzający brudny, jak jest parę kościołów krakowskich, zwłaszcza jeden.. Już to

trzeba przyznać, że w miastach Królestwa, a często i po wsiach dbałość zarządów o ochędństwo domu Bożego jest przeważnie wzorowa, a poziom wymagań pod tym względem jest wyższym niż u nas i to znacznie wyższym.

Jak spodziewać się można po starej osadzie, Lublinowi nie brak kościołów o dawnej fundacji i długiej historii. Wszelako stare ich daty zachowały się niestety jedynie na papierze. W samych budynkach i w zabytkach, które one zawierają, ślady dalekiej przeszłości spotykamy zaledwie gdzieniegdzie. Jeszcze w XIX w. było ich o wiele więcej. Wiadomo np., że znaczną ilość płyt grobowych, średniowiecznych i późniejszych, powyrzucano kładąc nowe posadzki, niezawsze ładne i z materiału odpowiedniego powadze kościoła. Tak to gorliwa dbałość o zewnętrzny porządek i wygląd, może być szkodliwą, jeśli nią nie kieruje zjawstwo i historyczne wykształcenie. Nieumiejętne restauracje bywają więkczą dla zabytków klęską niż skalowany „ząb czasu“, na który się zwykle zwala potem wszystkie winy. Staruszek czas gryzie bardzo powoli, za to prędko pora się ręka ludzka, zostająca pod rozkazami silnej a nierozważnej woli i uzbrojona w kilof, dłuto, młotek i kielnie.

To więc, co się oczom przedstawia w Lublinie, to głównie epoka renesansu, jeszcze bardziej baroka i XVIII w.

W kościele t. zw. Wizytek, a właściwie Brygidek, złożonym rzem z klasztorem przez Jagiełłę na pamiątkę zwycięstwa grunwaldzkiego, najstarszy wygląd ma szczytowa ściana faady, choć i jej fragmenty i słupki zapewne poza koniec piętnastego wieku nie sięgają. Zrąb murów musi być wcześniejszy, skoro przy restauracji i przed kilku laty znalazły się na nich, na strychu nad obecnym sklepieniem nawy, freski z początku XV w., przedstawiające pochodź rycerzy z Jadwigą i Jagiełłą na czele, jak przypuszczają niektórzy badacze. W rozległych zabudowaniach klasztoru dominikańskiego zachował się zaledwie mały okaz sklepienia gotyckiego, zresztą są tam wspaniałe sale, korytarze i sienie z XVI i XVII w.

Poza tem, co wyżej wymienilem, niemal nie nam średnich wieków w Lublinie nie przypomina; a dziwno doprawdy. Stąd jednak nie wynika, by nie było pięknych budowli kościelnych. Do okazalszych zaliczyć trzeba wnętrza kościołów: Bernardynów, a zwłaszcza Dominikanów. To ostatnie jest i samo piękne i pięknymi szczegółami wyposażone. Uwagę zwracają szczególnie bogate i dobrego smaku sztukaterie i freski kaplicy Tyszkiewiczowskiej za wielkim ołtarzem (pełen fantastycznych pomysłów Sąd ostateczny na sklepieniu) i sam ołtarz w stylu empire, który tę kaplicę oddziela od prezbiterium; dalej

rzeźbione pomniki grobowe trzech Firlejów, dwa z połowy XVI w., trzeci z XVII. Niesęty wszystkie są tak grubą warstwą wapna i farb powłoczonych, że nie wiadomo czy materiałem ich marmur, czy piaskowiec, czy jakaś masa sztuczna.

Kościół ten szczyty się posiadaniem przedmiotu czci religijnej, prawdziwej osobliwości w swoim rodzaju: jest nią część drzewa Krzyża św., największa, jaką widziałem kiedykolwiek, a zapewne jedna z największych wogóle istniejących. Ma kształt krzyża równoramiennego, o ramionach szerokich i grubych. Wycięty został podobno z całej szerokości głównej belki krzyża Chrystusowego. Relikwia ta w X jeszcze wieku z Anną, siostrą cesarza bizantyńskiego, a żoną świeżo nawróconego księcia Włodzimierza Wielkiego, dostała się z Konstantynopola do Kijowa, skąd do Lublina przywiózł ją — według Długosza — książę Grzegorz (?) Rurykowiec, wygnany z Kijowa w pierwszej połowie XIV w.

W zakrystyi, obok innych zabytków, widzieć można wspaniałą monstrancję, przybraną kilkudziesięcioma ślicznymi kanakami renesansowymi, złożonymi z kamieni drogich i różnokolorowych emaliowanych delikatnych skrętów. Wyrób to złoćniczy rzadkiej szlachetności szczegółów. Pokazują nadto stół, na którym miał być podpisanym akt Unii lubelskiej, właściwie podobiznę historycznego sprzętu. Usię podpisano w zamku

lubelskim, uroczyste nabożeństwo i ogłoszenie publiczne nastąpiło w kościele Dominikanów. Stół oryginalny, przeniesiony z zamku, znajdował się przez kilka wieków w klasztorze Dominikańskim. Autentyczność jego poświadczają przypieczętowany dokument z kolejnymi podpisami następujących po sobie biskupów krakowskich, a potem lubelskich. Lat temu kilkanaście, w czasie spotęgowanych zakusów rusyfikatorskich, zarząd kościoła obawiał się o bezpieczeństwo cennej pamiątki i odstąpił ją czy sprzedał do jednego z wielkich zbiorów prywatnych w kraju, a na miejsce jej postawiono wierną kopię.

Wspomniany poprzednio kościół Bernardynów mieści kilka pomników grobowych. Najokazalszy marmurowy z XVI w., z piękną leżącą postacią rycerza, zasłonięto konfesyonałem, jakoby przed zamachami szkodników — a równocześnie przed okiem badaczy i miłośników dzieł sztuki tak dokładnie, że wiedząc o nim, można długo po całym kościele szukać go na próżno. Nie wątpię, że i w Lublinie pojawiają się wandalę, wszelako byliby chyba znalazł się sposób utrudnienia im roboty, bez pozbawienia wnętrza kościoła takiej ozdoby. Na szczęście nie zasłonięto dotąd epitafium Wojciecha Oczki słynnego lekarza z czasów Zygmunta Augusta, Batorego i Zygmunta III. Piaskorzeźbiona jego klęcząca postać, jest dziełem dobrego artysty. Było tu do niedawna dru-

gie epitafium, z r. 1608, niezwykle u nas, bo z dwuwierszem greckim na początku napisu; nie powiodło mi się odnaleźć go tersz i kto wie, czy nie zostało usunięte lub zatynkowane w czasie ostatniej odnowy kościoła. Zniknięcia takie zdarzają się niestety i gdzieindziej, nawet w samym Krakowie, gdzie przecież jest opieka, gdzie nadto powinny być należyte zrozumienie ważności zabytków.

6. Katedra.

Nie mało również w kilku innych kościołach lubelskich szczegółów interesujących; lecz jako całość zajmuje pomiędzy wszystkimi niewątpliwie pierwsze miejsce katedra św. Jana.

Budynek nie zalicza się do starych, jest z końca XVI w., a do dzisiejszej godności swojej podniesiony został dopiero w r. 1832. Lublin bowiem aż do rozbiorów kraju wchodził w skład diecezji krakowskiej, potem w latach 1790—1807 stanowił część nowo utworzonej diecezji lubelsko-chełmskiej, ale nie był jej stolicą biskupią. Tą był Krasnystaw, poprzednio stolica diecezji łacińskiej chełmskiej. Ze stosunkami kościelnymi hierarchicznymi w Lubelskiem rząd rosyjski w ciągu XIX w. najrozmaitsze czynił eksperymenty, tak, że co lat kilka zmieniały się do niepoznania granice i stolice diecezji. W roku 1818

wydzielono nową diecezję podlaską, i stolicę jej umieszczono w Janowie, który dawniej był już przez jakiś czas siedzibą biskupów łuckich. W r. 1826 Lublin stał się nareszcie stolicą diecezji, a pierwszą jego katedrą została stara kolegiata św. Michała. Ten kościół był jednak niewielki, zresztą chylił się podobno ku upadkowi. Zanim go rozebrano, bo już w r. 1832 przeniesiono katedrę do pojezuickiego kościoła św. Jana.

Jest to gmach w całym znaczeniu jezuicki. Ci, co go projektowali, mieli na oku przede wszystkim wrzenie olániewające, efekt... nieco teatralny. Do podniesienia go służy obrany punkt, w miejscu nader sprzyjającym, na brzegu wzgórza, u wstępu do obrębu dawnego miasta. Z przodu, z jednego boku i z tyłu patrzy się na kościół od dołu, co potęguje dość znaczny jego wysokość. Fasada zamyka ulicę, rozszerzając się tutaj w spory plac z otwartym bocznym widokiem na okolice miasta. Może środki finansowe nie pozwoliły na rozwinięcie bogactwa w architekturze zewnętrznej, dość okazałej, lecz ceglasto-tynkowej, a nadto kilka razy przerebianej. Zato wnętrze jest imponujące. Wywołują to wrażenie: szerokość niezbyt długiej nawy i śmiałe rozpicie nad nią łuków sklepienia barokowego. Rozszerzają nawę rzędy kaplic, łączących się ze sobą w rodzaj naw bocznych.

Wapniałe ołtarze, przeważnie drewniane lub stinkowe, zręcznie naśladowują marmur. Wśródzie dużo rzeźb, ornamentów, złoceń. Całe ściany i sklepienia pokryte freskami z połowy XVIII w., o tonach głębokich; sceny figuralne skomplikowane, pełne ruchu, kłębiących się obłoków, dalekich perspektyw, sztucznych oświetleń, rozwijają się wśród widzianych z dołu kolumn, arkad i gzymsów; miejscami otwiera się w górze widok na błękitny nieba.

Wobec efektu ogólnego na drugie miejsce schodzą szczegóły, jak kilka dobrych obrazów i portretów i kilka pomników, między innymi epitafium Klonowicza. Piękną jest kaplica grobowa książąt Stuckich, wyłożona marmurami. Na uwagę zasługuje krzyż trybunałski, ten sam, do którego przywiązana jest tradycja o głowie, którą Chrystus odwrócił wskutek wydanego przez trybunał wyroku niesprawiedliwego i o łzach, któreimi posąg płakał w r. 1728.

Obok prezbiterium znajduje się ogromna zakrystya, a za nią i za wielkim ołtarzem obszerniejszy kapitułarz; obie sale, podobnie jak kościół, przyszdobione freskami. Kapitułarz jest zarazem skarbcem. Za dalekoby prowadziłoza-puszczać się tutaj w wyliczanie i ocenianie wartości jego. Wystarczy powiedzieć, że jest on nader bogaty w cenne paramenty, naczynia kościelne, kosztownie oprawne księgi, rękopisy, do-

kumenty, sprzęty, rzeźby, obrazy, sztychy, miniatury, medale i monety, pamiątki i osobliwości różnego rodzaju. Do tych ostatnich należy słiczny taburet Sobieskiego, rzeźbiony i złocony, a pokryty haftem *au petit point*; jest on niewątpliwie meblem królewskim z owej epoki i mógł nawet należeć do jednego z autentycznych garniturów pałacu wilanowskiego.

Warto podnieść kolekeję niepozorną, a nader doniosłą gipsów. Oto w czasie już wojny obecnej władze rosyjskie przed opuszczeniem kraju zabrały się do wywiezienia dzwonów kościelnych i to tak sumiennie, że w Lublinie, podobno w Lubelskiem, a także w niektórych innych stronach kraju nie pozostało żadnego naszego kościołom. Jedyną polubelskich pamiątką są te gipsowe odlewy z ich ozdób.

Skarbiec katedralny jest rodzajem muzeum dycecejalnego, a przynajmniej początkiem jego i muzealnym jest jego urządzenie. Większa część przedmiotów umieszczona jest w oszklonych szafach lub gablotach; innym także takie przeznaczono miejsce, że je dobrze oglądać można. Tylko ornaty i kapy leżą w płaskich szufladach, każdy kawałek w innej, osłonięty pokrowcem albo miękką kolderką, chroniącą od wydzierania nitki z haftów i tkanin. We wszystkim znać tu troskliwą skrzętność, umiejętność, a przy tem dobry smak i wzorowy porządek. Zasługa to kustosa, X. kanonika Dębińskiego, który jest

razem opiekunem i pomocnikiem zbiorów, sam zajmuje się ich ułożeniem i sam je pokazuje, nie żałując trudu i czasu. Ta pełna miłości staranność ze znowatwem połączona budzić musi podziw. Kurezy się coraz bardziej zasób naszych zabytków z dawnych wieków, [świadczeń i dokumentów przeszłości narodowej, wojna teraźniejsza straszne w nim szczyby poczyniła; bodaj to były ostatnie. Im zaś tych zabytków mniej, tem są nam droższe, tem większa powinna być wdzięczność dla strzegących troskliwie a mądrze tego naszego dobra narodowego, tej szczonej spuścizny po przodkach.

- W zakrystyi, również ze smakiem udekorowanej i urządzonej, przechowują się szaty i przedmioty kościelne codziennego użytku. Tu oglądać można stół z wgniecionym czarnym znakiem nakstałt dłoni. Zagadkowy ten znak wyjaśnia fantastyczna legenda o wdowie, która wskutek przekupstwa trybunału przegrawszy proces, zawołała, że „gdyby dyabli byli sędziami, wydałoby sprawiedliwszy dekret“. Poczem teje nocy zajechał przed sąd karetami cały korowód szatanów w kontuszach, a przywoławszy wystraszonego pisarza, który mieszkał w trybunale, w jego obecności odbyli według wszelkiej formy rozprawę i wydali wyrok na korzyść wdowy. Zamiast podpisów wypalili na dekrecie swoje łapy, czego śladem czarny znak dłoni na stole.

Wtedy, a było to w r. 1637, Chrystus krucyfiksu ze zgrozą miał odwrócić głowę.

Oto wiązka wspomnień i wrażeń wyniesionych po krótkim pobycie w Lublinie. Można by ich nagromadzić dużo więcej. Ale te, których tu dotknąłem wystarczą może, by zwrócić uwagę na miasto, za mało dziś u nas znane i odwiedzane. Odgrywało ono w dawnej Polsce wybitną rolę. Leżało na jednej z wielkich dróg handlowych, łączących wschód z zachodem. Było zamożnem. Zschowało wiele pamiątek przeszłości, tradycy i wspomnień. Należy do najpiękniejszych w Polsce, a z miast naszych prowincjonalnych jest najbardziej interesującym nie tylko dla swych pamiątek i wspomnień, ale i przez te co przynosi dodatnego w teraźniejszości, przez swą żywotność, przez ludzi którzy w niem żyją i przez to co czynią.

Z wielu więc względów warto Lublinowi się przypatrzeć, warto poznać go bliżej, aniżeli te dotąd było w zwyczaju. Długo dzielił nas mur niemal ebiński granic politycznych. Obecnie zostały tylko reszty tego muru; da Bóg, że znikną i zapory ostatnie. Oby ta chwila nadeszła jak najprędzej.